

SPOWIEDŹ HANA SOLO

BYŁEM PRZEMYTNIKIEM W INDIACH



Cezary Borowy

1987

SPOWIEDŹ
HANA SOLO

BYŁEM PRZEMYTNIKIEM W INDIACH

Cezary Borowy

SPOWIEDŹ
HANA SOLO

BYŁEM PRZEMYTNIKIEM W INDIACH

Wydawnictwo TBR

Warszawa 2019

[Kup książkę](#)

Wynajęliśmy trzy pokoje. Po tym, jak każdy wziął prysznic, poszliśmy coś zjeść. Po południu wysłaliśmy Andrew na zwiad. Wrócił z informacją, że już po wszystkim. Nie otwierali zamkniętych pokoi, tylko sprawdzali dokumenty tych, którzy byli na miejscu. Nikogo nie zabrali i mogłoby się wydawać, że nic wielkiego się nie stało. Tylko czemu czuję taką spinę...?



Trzeba czekać

Wtedy

Siedzimy w kilka osób na kolacji w Niruli na Connaught Place w centrum. Przewija się tu dużo turystów, wydaje nam się więc względnie bezpiecznie. Po nalocie zniknęła dawna beztroska. Jest problem, chociaż ja akurat czuję ulgę, bo DRI, które wpadło dwa dni temu do Vishala, nie mnie szukało.

Problem ma Prezes, bo jak doniósł nam Sarup, który dowiedział się tego swoimi kanałami, szukają dwóch Polaków, którzy uciekli z aresztu w Waranasi. A Prezes od czterech dni nie ma kontaktu z dwoma chłopakami wysłanymi z Katmandu właśnie do tego miasta. Mieli ze sobą elektronikę na wpis. Dawno powinni tu być, Karol i Radź. To był ich trzeci lot. Radź, trzydziestolatek, który niedawno został ojcem, chciał zarobić na mieszkanie w Gliwicach. Karol zbierał na samochód.

To muszą być oni, ale czemu ich szukają? Przecież mieli zgłosić towar na granicy, dostać wpis TBR i wracać pociągiem do Delhi. Może celnikom coś się nie spodobało w paszportach, zauważyli, że są naklejowane? Gdzie chłopaki teraz są, jak ich znaleźć? A może już ich złapali? Prezes drapie się po głowie, nie może im pomóc. Skoro uciekli i nie ma ich w areszcie, to gdzie, do diabła, są? Trzeba czekać, niestety.



Ucieczka z Waranasi

Wtedy

To miał być zwykły, pewny lot bez emocji. Radź i Karol to była para przyjaciół, muzyków ze Śląska. Początkowo chcieli zatrudnić się u Prezesa tylko na kilka wrzutów, zarobić po tysiąc dolarów i wracać do kraju. Później obliczyli, że gdyby udało im się zarobić po trzy tysiące, to mogliby po powrocie kupić mieszkania w Gliwicach.

Przylecieli z Katmandu do Waranasi z zestawem przewalacza, to znaczy kamerą National M7 i skrzynką plus drobnica. Klasyczna trasa na wpis do paszportu. Dlaczego więc po przylocie tego nie zadeklarowali? Może oznaczenia na tym malutkim, starym lotnisku były nieprecyzyjne? Może nawet się nie zorientowali, że wchodzi na zieloną?

Celnicy wyłuskali ich z tłumu i poprosili na bok. Wybebeszono im torby i z mordą, ostro do nich: „Czyj to sprzęt!?”. Próbowali się ratować, tłumacząc, że nie wiedzą, że ktoś im podrzucił. Przesłuchiawano ich kilkanaście godzin. Cały czas strażnicy mierzyli do nich z długiej broni, tak długiej, że prawdopodobnie pochodziła jeszcze z XIX wieku.

Późno w nocy zakończono przesłuchania i skutych zawieziono na posterunek policji. Zaprowadzono do pokoiku na pierwszym piętrze, rozkuto z kajdanek i zamknięto za chłopakami drzwi. Byli przekonani, że następnego dnia przewożą ich do więzienia. A cały czas mieli w głowie – jak my wszyscy wówczas – że więzienie w Indiach dla Europejczyka nieodpornego na amebę to śmiertelne niebezpieczeństwo. Z więzienia biały wychodzi nogami do przodu.

„Musimy za wszelką cenę uciec, póki jeszcze nie jesteśmy za murami” – mówili przerażeni do siebie. Rozejrzeli się po pokoiku, podeszli do okna, okazało się zamknięte, ale nie zakratowane. O dziwo, udało im się w miarę cicho je otworzyć. Odczekali dłuższy moment, nic się nie działo, cisza, nikt do nich nie szedł. Uciekać, za wszelką cenę uciekać. Przełożyli nogi przez parapet i skoczyli. Tylko przytłumiony stuk rozległ się w nocnej ciszy, bo pod oknem była gęsta trawa. Nikogo to nie zainteresowało, zresztą chłopcy nie czekali na reakcję, tylko pobiegli w długą przed siebie, byle dalej.

Radź opowiadał, że nigdy w życiu tak szybko nie biegł. Kierowali się do lasu, który gdzieś majaczył w oddali. Przestraszeni do granic desperacji, biegli, ciągle biegli w cichej nocy, a myśli biegły im jeszcze szybciej. Zmieniali się na prowadzeniu, ale biegli, najpierw do lasu, później przez las, godzinę i kolejną. Biegli po życie. Zaczęło widnieć, gdy padli na twarz pod kępą bambusa.

Zasnęli czy stracili przytomność, nie wiadomo, w każdym razie wybudziły ich ludzkie głosy. W odległości kilkuset metrów pojawili się dwaj miejscowi wieśniacy. Podeszli do nich, spojrzeli, uśmiechnęli się sympatycznie. Chłopakom adrenalina napłynęła do głowy, napięcie sięgnęło zenitu. Miejscowi zdjęli cynowe dzbany z głów, kucnęli obok i zaczęli coś do nich mówić w lokalnym języku. Radź wyciągnął resztki zmiętoszonej paczki papierosów, poczęstował przybyszów. Zapalili – to zawsze dobre na przełamanie lodów. Zrozumieli, że miejscowi dopytują, co tu robią. Karol szybko zaimprovizował, że ukryli się w krzakach, żeby obserwować życie małp, których kilka młodych akurat obok się bawiło.

Indusom musiało wydawać się to bardzo głupie. To trochę, jakby chłop na Podlasiu w kępie olszyny spotkał dwóch czarnych z Afryki, a ci na migi tłumaczyliby mu, że obserwują życie wron, które opodal siedzą na drzewie. No, ale Indusi słyszeli, że biali są bardzo dziwni, i ten przypadek tylko to potwierdzał. Wskazali im drogę w kierunku rzeki Ganges i odeszli do swoich zajęć.

Chłopcy szli polami, zagajnikami w stronę rzeki, unikając zabudowań. W oddali zobaczyli dymy, jakby paliła się wioska. Podeszli bliżej, zobaczyli szeroką rzekę, a wzdłuż niej dziesiątki płonących ognisk. To musiał być Ganges, a ogniska to stosy kremacyjne. Przysiedli przy jednym z tych dogasających i starali się podsumować swoją sytuację. Była beznadziejna, nie mieli pomysłu, co dalej, nie jedli i nie pili od poprzedniego dnia. Nie rozmawiali dużo między sobą, powoli docierało do nich, że nie mają szans na przetrwanie.

Postanowili policzyć, jakimi zasobami dysponują. Wytrząsnęli wszystko z kieszeni. Radź miał zegarek marki Tissot, a Karol złoty łańcuszek z Matką Boską. To wszystko, co miało jakkolwiek wartość.

Oczywiście żadnego dokumentu tożsamości. Wiedzieli, że nie mogą zbliżyć się do miasta, bo tam ich na pewno szukają, a białych łatwo rozpoznać w tłumie. Głodni, zmęczeni siedzieli przy dogasającym stosie i nie mieli żadnego pomysłu, co dalej. Nie było widoków na zdobycie butelki wody, a dotarcie do kolegów w New Delhi wydawało się kosmicznym wyzwaniem. Picie wody z rzeki Ganges, do której wrzucano resztki ze stosów kremacyjnych, to była jednak słaba opcja.

Siedzieli długo przy tym dogasającym ognisku, aż podszedł do nich młody człowiek z grupy lokalsów, która kręciła się przy sąsiednich ogniskach. Słabym angielskim cicho zapytał, czy czuwają przy zwłokach kogoś bliskiego. Wytłumaczyli mu, że są turystami i zabłądzili. Zaprosił ich do swojego ogniska. Poczęstowano ich tam ćajem, który wypili jednym haustem, nie zważając, że gorący. Dolano kolejną porcję i jeszcze jedną. To byli ludzie w podartych szmatach, ze skórą ogorzałą od palenia ciał, brudni, śmierdzący, ale ludzie, którzy ich przygarnęli i poczęstowali pożywnym napojem. Kasta niedotykalnych, ale o nic nie pytających Indusów. Radż i Karol spędzili kolejną noc przy unoszącym się wokół mdłym, słodkim, duszącym zapachu palonych ciał.

Następnego dnia szli brzegiem rzeki i zauważyli, że panuje na niej spory ruch, a część barek płynie w górę rzeki. A właśnie pod prąd powinni płynąć, żeby dotrzeć do New Delhi. W jakimś wioskowym porcie rzeczonym próbowali dogadać się z kapitanem, by zabrał ich na pomocników.

– Ale co wy tutaj robicie? Znacie się na tej robocie? Nie potrzebuję z wami kłopotów.

– Byliśmy w aśramie, a teraz chcemy się sprawdzić, czy potrafimy dotrzeć bez pieniędzy do New Delhi. Jeżeli się zgodzisz, to dam ci ten łańcuszek. – W Karolu obudził się instynkt przetrwania, zauważył

szansę i postanowił walczyć. Kapitan wziął do ręki medalik, przybliżył do oczu i powiedział, że to katolicki symbol, a on jest hinduistą i nie chce takiego, bo ma inną energię. Czuje zło z tego złota.

– To może chcesz ten zegarek? Jest bardzo drogi, w Europie można za niego kupić samochód. – Radź sam się zdziwił, jak sprawnie improwizował. Kapitana zainteresował temat, może spodobało mu się prowadzenie rozmowy handlowej na wschodnią modłę, może zlitował się nad nimi, w każdym razie powiedział:

– Okej, szukałem czegoś na prezent. Wsiadajcie, płyniemy w kierunku Delhi, będziecie nam pomagać przy rozładunku i załadunku.

Siedzieliśmy w pokoju, patrzyliśmy na chłopaków z podziwem. Każdy przerabiał ich opowieść, zastanawiał się, co by zrobił na ich miejscu. Wszyscy jesteście tu, w Indiach, mocno zadomowieni, ryzyko i napięcie to nasza codzienność, ale tych dwóch naprawdę nam zaimponowało.

– No, chłopaki, będziecie to wnukom opowiadać.

Radź, który cały czas nawijał, teraz zamilkł. Po raz pierwszy odezwał się Karol:

– Potraficie sobie wyobrazić, jak smakował ostatni papieros na dwóch, którego zapaliliśmy w kącie, na tej barce odbijającej od brzegu? To poczucie, że może naprawdę urwaliśmy się sforze goniących nas psów?

Patrzyłem na nich i widziałem dwóch starszych panów. Mieli po trzydzieści lat, a wyglądali na pięćdziesiąt. Podczas tej ucieczki postarzelisi o dwadzieścia lat.



Złote sprzątaczk

Wtedy

Nie wszyscy latali przez Katmandu, niektórzy uważali, że jest tam za duży tłok, za dużo Polaków lata i że nie warto robić tego, co wszyscy.

Smutny tego dnia już przy belcie w New Delhi stwierdził, że kastomsi są nadpobudliwi. Jest ich na zielonej kilku i wszystkich zatrzymują, prześwietlają bagaże, kierują na bramki.

Nie ma szans, nie wolno w takiej sytuacji wychodzić, bo to pewna strata. „Elektronika to nie problem” – pomyślał. „Zaraz ją zgłoszę i albo mi wpiszą TBR-a, co mało prawdopodobne, albo złożę do depozytu i jutro wywożę”.

Przejdzie przez zieloną z torbą elektroniki i złotem w kieszeniach to już loteria, ale nie idzie się na pałę. Należy się dyskretnie rozejrzeć i wybrać właściwy moment, na przykład gdy dużo ludzi, a mało celników. Jeżeli ci ostatni są nadaktywni, to można spróbować przeczekać gdzieś przy belcie. Może przyleci kolejny samolot i zrobi się większe zamieszanie.

Smutny, jak opowiadał, szybko podjął decyzję, że nie ryzykuje. Ale co zrobić ze złotem? Nie przyjmą do depozytu, tylko oskarżą o próbę przemycenia. Zawsze można wyrzucić, ale jednak to trochę szkoda. Może gdzieś schować? Ale gdzie można upchnąć na przylotach kilka sztabek złota, tak żeby się przechowało do

następnego razu? Poszedł do kibla, zamknął się w kabinie i zaczął kombinować.

Każda budowla w Indiach bardzo szybko ulega rozkładowi. Tu się coś urwie, tam pęknie, cały kraj wygląda, jakby był powiązany sznurkiem. Wszystko zrobione byle jak i z najtańszych materiałów. Siedząc na kiblu, na murowanej ścianie po lewej Smutny zauważył pęknięcie, poszerzone, jakby ktoś w nim dłubał. Otwór wystarczająco szeroki, głęboki na palec, idealny. Wcisnął tam cztery sztabki tak głęboko, jak się dało, następnie dodał papieru. Wyglądało naturalnie, jakaś dziura, w którą ktoś napchał śmieci.

Przylatujący następnego dnia Pentax miał ocenić sytuację i jeśli okoliczności będą sprzyjające, udać się do kabiny, wyjąć z dziury złoto i wyjść na miasto. Niestety, otwór był pusty. Sprawdził dla pewności wszystkie kabiny i wszystkie otwory w nich, bo okazało się, że było ich całkiem sporo.

Cóż, nie ma, to nie ma. Pewnie jakaś sprzątaczką miała swój dzień. Przynajmniej nie ma kosztów prawnika. Tydzień później w podobnej sytuacji znalazła się Halina Żółtaczka. Również znalazła w damskiej toalecie taki idealny schowek. I tym razem sztabki też nie zostały odnalezione. Jako trzecia straciła w ten sposób blachę Francuzka i wtedy zaczęliśmy się zastanawiać, co jest grane. Przyjrzelśmy się uważnie, jak się zachowują snujące się pod ścianami sprzątaczkami. Nie, to nie były przypadkowe sytuacje, skubane łowiły nas jak karpie w stawie. To one wydłubały te otwory, to była zanęta. Nie na nas konkretnie, ale na jakichkolwiek przemytników żółtka, a tych było bardzo dużo różnej narodowości. Każdy, kto miał słabo ukryte sztabki złota, widząc obławę celników, kombinował tak samo: „gdzie to schować?”. Każdy pewnie trafiał do kibla i tam znajdował idealne kryjówki.

A kobiety wyglądały na takie ofiary losu... Tymczasem wystarczyło, że tylko raz w miesiącu znalazły coś w tych pułapkach, a były ustawione na cały rok albo lepiej.



Rewolucja energooszczędnej żarówki

Istnieje technologia, która zmienia Indie bardziej niż telefony komórkowe. Za kilka lat to może być już inny kraj.

Ryszard Kapuściński w swojej książce *Heban*, poświęconej Afryce, zawarł rozdział pod tytułem *Rewolucja plastikowego kanistra*. Pisał tam, że przez setki, tysiące lat kobiety na Czarnym Łądzie nosiły wodę z odległych źródeł w stągwiach. Były one ciężkie i nieporęczne, a źródło często znajdowało się kilka kilometrów od wioski. A potem pojawił się plastikowy kanister i wszystko się zmieniło. Teraz po wodę wysłać można nawet małe dzieci, bo kanistry są różnych rozmiarów. „Jakaż to przemiana w życiu kobiety” – konkluduje autor.

Wieczór w Indiach to coś niespotykanego dla przybysza z naszej szerokości geograficznej. Przede wszystkim zachód słońca jest przez cały rok o tej samej porze, gdzieś około 18.20. Nie ma różnicy między zimą i latem. Indusi nie znają krótkich i długich dni. Poza tym w Polsce przejście dnia w noc, coś, co nazywamy szarówką, zmierzchem, trwa półtorej godziny, może dwie. W Indiach zaczyna

się ściemniać, a po dwudziestu minutach jest już po wszystkim, jest noc. Krótko i na temat.

Zapalają się światła latarni, sklepów, restauracji i straganów. Tyle że latarnie są nieliczne i z reguły nieczynne albo z bardzo słabymi świetlówkami. Nie mają praktycznego znaczenia. Całe oświetlenie miasta pochodzi zatem z restauracji, sklepów i straganów. Lokale z oczywistych powodów dbają przede wszystkim, by jasno było we wnętrzu. Oczywiście dopóki są otwarte, to częściowo oświetlają też ulice, ale tylko częściowo.

Stragany to pierwsza linia handlu; zajmują chodniki przed sklepami, ciągną się kilometrami. Aby zatrzymać klienta, również tutaj mają jakieś prowizorycznie podciągnięte kable i żarówki zamontowane tuż nad stertą towaru. Z oszczędności zaledwie 40- lub 60-watowe, w starej technologii.

Miliony ludzi przeciskają się więc w półmroku, w głębokiej szarości, gdzieś pomiędzy sklepami a straganami, najczęściej wybierając wygodniejszy marsz skrajem ulicy. Idąc po zmroku wśród tej masy ludzi, widzimy ich krzyżujące się cienie, a gdy sunąca wolno przez tłum motorusza omiata wszystkich snopem swoich światel, czujemy, że jesteśmy w innym świecie.

I nagle przed sobą, w odległości kilkudziesięciu metrów, zauważamy jasny aż do bólu oczu punkt. To stragan, którego właściciel zamiast starej, 40-watowej żarówki zawiesił nową, ogromnej mocy energooszczędną żarówkę. Wygląda, jakby wylądował statek kosmiczny, przybysz z innej planety, rozjaśnia wszystko na kilkanaście metrów, dając zupełnie nową jakość temu skrawkowi ulicy.

To pomaga w handlu, więc kolejni sprzedawcy również decydują się na tę inwestycję. Z pewnością musi być spory wydatek, ale

jednorazowy, bo żarówka prądu zużywa mało, a pozwala się wyróżnić. Wielu, szczególnie w mniejszych miastach, jeszcze na to nie stać, ale już wiedzą, że powinni zainwestować, już liczą, kiedy będą mogli sobie na to pozwolić.

Obecnie, ze względu na brak publicznego oświetlenia, życie miasta zamiera po zamknięciu sklepów. Tym bardziej, że lokale zamykane są na stalowe żaluzje, nie rozświetla ulic światło witryn, nie pospacerujemy ciepłą nocą, spoglądając na wystawy. Energooszczędna żarówka sprawia, że rozświetlają się indyjskie ulice, miasta zmieniają się po zmroku. Na razie tylko dopóki są otwarte sklepy i czynne stragany, ale może w kolejnym kroku władze miast wymienią żarówki w latarniach i mieszkańcy nabiorą nowych nawyków, pojawi się nocne życie w Indiach?



Milion dolarów za zdjęcie z puszką Heinekena

Wtedy

Stary, odpuść, nie możemy wygrać! – krzyczy Głupi Piotruś do Henia Samuraja.

Dobrze jest, spudłował, nie ma kosza. Teraz oni rozgrywają, starają się jak cholera, widać, że im zależy. Sprawa jest poważna,

nie wolno nam wygrać tego polsko-indyjskiego meczu koszykówki na granicy Indii i Bangladeszu. Stawka jest zbyt wysoka.

Przejazd z torbami pełnymi elektroniki przez Bangladesz jest uciążliwy, ale bez emocji. Przez jakiś czas to była pewna trasa. Lądowanie w Dhace, stare, niewielkie, brudne lotnisko. Celnicy nie mają żadnych oczekiwań, nie musisz nic deklarować. Możesz wychodzić zieloną, czerwoną, i tak nikt nie zajrzy do torby. Trzeba było tylko przy wyrabianiu wizy – bo wizę należy wcześniej wyrobić w konsulacie – zgłosić, którym przejściem będzie się opuszczało Bangladesz.

Tym razem pojechało osiem osób: Filipińczyk, Głupi Piotruś, który już wrócił z podróży do Australii i kombinował pojedyncze akcje, Heniu Samuraj, Kredka, Lady Kristina, Żłotnik, Pakistan i Duża Kaśka. Każdy wiozł trzy skrzynki plus drobnicę, łącznie dwadzieścia cztery magnetowidy marki National. Ogromne plecaki wylądowane po brzegi, wyraźnie największy miał Pakistan. Całość złożonego w jednym miejscu bagażu wyglądała, jakby to była wyprawa na Kangczendzongę albo przynajmniej na jakiś siedmiotysięcznik.

Po wylądowaniu – przejazd do hotelu Zakaria, jedyne, który wchodził w grę. Niewielu turystów dociera do Dhaki, to i oferty noclegowej nie ma. Następnego dnia wyjechali na całonocną trasę autobusem. Każdy wykupił po trzy miejsca, żeby było gdzie bagaż złożyć, inaczej lokalsi wrzuciliby na dach i deptali do woli. Nie tylko zresztą o deptanie chodzi. Bangladesz jest dużo bardziej niebezpieczny niż Indie. Spójrzmy na motorowe riksze: w Indiach mamy bezpośredni kontakt z kierowcą, a w Bangladeszu jest on odgradzony siatką, żeby pasażer go nie dziabnął nożem. Dlatego bagaż z taką zawartością trzeba mieć przy sobie i dosłownie spać na nim.

Sam wyjazd z miasta zajmuje dwie, trzy godziny, następnie trzeba przedostać się przez most nad połączonymi rzekami Ganges i Brahmaputra – tak szerokimi, że drugiego brzegu nie widać. Przejście graniczne Chilahati – Haldibari, którym można się dostać do miasta Siliguri w Indiach, znajduje się w najbardziej na północ wysuniętej części Bangladeszu. Takie dziwne miejsce, gdzie trzy państwa – Bangladesz, Nepal i Bhutan – rozdziela pas Indii, momentami wąski na kilkadziesiąt kilometrów. Na ostatnim odcinku przed granicą jedzie się niejako przez wodę – wąska grobla, na niej droga, a wokół woda i woda. Czasem wyspa, na niej wioska, potem znów woda i znów wyspa z wioską. Dwadzieścia kilometrów przed granicą autobus kończy bieg i trzeba przesiąść się na riksze.

W miejscu przesiadki rośnie drzewo z owocami pomelo, które nazywane są dużą pomarańczą, a w smaku bardziej przypominają grejpfruta. Przewalacze z różnych grup, często tworzonych *ad hoc* na ten jeden przejazd, pojawiali się tam z pewną regularnością, co dwa tygodnie, za każdym razem kosztując coraz bardziej dojrzałych owoców.

W pewnym momencie nawet riksza nie może jechać i aby dotrzeć do granicy, trzeba targać bagaż torami kolejowymi. Nie ma żadnej drogi, tylko nasyp kolejowy. Ciężki plecak na grzbiecie, torba w rękę i idziesz. Wreszcie kończą się tory, masz rzekę, ale bez mostu, tylko płytki bród, przez który przechodzisz po kolana w wodzie.

Bród, czyli wypływanie w rzecę, w dziejach ludzkości często był miejscem zasadzek. Wiadomo, nie ma tam się gdzie ukryć. Tutaj też czasami pojawiały się tajne służby celne, które mogą kontrolować podróźnych na terenie całych Indii. No i oczywiście są teraz, gdy grupa w całości przepłynęła się przez rzekę i wyszła

na polanę z prymitywnym boiskiem, po którym biegali miejscowi chłopcy. Pojawiło się nie wiadomo skąd czterech panów w długich spodniach i jasnych koszulkach i mówią:

– Paszporty proszę. Dokąd jedziecie?

Głupi Piotruś stara się z nimi żartować, nawet podejmują ten ton, toczy się przyjazna konwersacja bez spiny.

– Co ty tam masz w tym plecaku? – pytają Pakistana. Chłopak otwiera i wyjmuje... piłkę do koszykówki! Taką gumową, w ceglastym kolorze, marki Adidas. Na specjalną prośbę kupioną w Singu dla handlarza w Kalkucie, który chciał zrobić prezent synowi.

– Może zagramy? Indie przeciwko Polsce – proponuje Głupi Piotruś, kozłując po klepisku.

No i jest mecz, nieoficjalny, ale pewnie pierwszy w historii mecz koszykówki pomiędzy Polakami a Indusami. Tylko żeby ten Henio Samuraj się nie zagrzał. Bo duch sportu duchem sportu, ale dla dobra sprawy lepiej byłoby przegrać. Trzech tajniaków nawet wiedziało, o co chodzi w grze, czwarty tylko się plątał. Mecz czterech na czterech do jednego kosza, który wisiał na banianie, wygrały Indie. Zadowoleni, że pokonali Europejczyków, pocieszali naszych chłopaków i zapraszali na rewanż.

Była obawa z tą regularnością pojawiania się na granicy młodych Polaków. Przejścia nie używał praktycznie nikt poza lokalsami i polskimi przemytnikami. Pracowała jedna zmiana celników, pełne wyświetlenie. Pytanie, czy się przyzwyczają, czy zaczną się wkurzać. Przyzwyczajali się ostatecznie, uznali, że widocznie te białyś tak mają, że tu przyjeżdżają co dwa tygodnie. Celnicy nawet nie pytali o bagaże, które stały gdzieś z boku, żeby ich nie prowokować.

Granica już dwadzieścia kilometrów za nimi, pierwsza przesiadka. Złotnik wyciąga dwie puszkę piwa, biorą po łyku piwa i opuszcza ich napięcie. Sytuacja wydaje im się super komiczna. Patrząc na siebie nawzajem, śmieją się jeden przez drugiego, a przecież haszu nie palili. Sytuacja jest tak abstrakcyjna, że aż śmieszna. Ośmiu młodych przemytników z komunistycznego kraju z torbami pełnymi magnetowidów popija piwo światowej marki na zadupiu zadupia świata, w kraju, gdzie jest praktycznie zakaz importu zachodnich produktów. Targali te dwie puszkę z samego Singapuru z narażeniem życia i zdrowia. I teraz gdzieś pomiędzy Kangczendzongą a Bhutanem, zadowoleni z akcji, delektują się gorzkim smakiem ciepłego piwa.

Ktoś, widząc malowniczość i komiczność sytuacji, rzuca hasło.

– Zróbmy sobie zbiorowe zdjęcie z puszką, wyślemy do Heinekena i spytamy, czy nie odkupią go od nas dla celów reklamowych za milion dolarów.



I Niemiec był nam bratem

Wtedy

Kriszna, szczupła blondynka z Wrocławia, kilka lat starsza od nas. Wyglądała, jakby była w Indiach od zawsze i znała wszystkich. Podczas rozmowy podsunęła Lady In Red pomysł, że skoro jest taka plaża, niewiele możliwości przemytu elektroniki,

Spis treści

DO PRZYJACIÓŁ Z TAMTYCH LAT • 11	KONIEC • 84
PRZEDMOWA • 13	TEJ GRANICY NIE WOLNO PRZEKRACZAĆ • 86
MUSZĘ SIĘ PRZEJŚĆ, PRZEMYŚLEĆ KILKA SPRAW • 19	SAMARKANDA • 89
TRAMWAJ PEŁEN PRZEMYTNIKÓW • 20	CZERWONA PŁACHTA NA BYKA • 90
SZERSZY KONTEKST • 25	HIPERSONICZNE PRZEWAŁY • 93
WSZYSTKO PRZEZ TERESĘ • 28	WRÓCIĆ DO KRAJU TYM SAMYM SAMOŁOTEM • 94
MONSUN • 33	SŁOWA ANGLIKA • 99
TBR • 36	KOCHANEK WIELKIEJ NIEDŹWIEDZICY • 100
TRĄBKA • 41	GOLKONDA • 102
TRZECIA PLEĆ • 42	KOH-I-NOOR • 104
AEROFLOT • 43	<i>OVERBOOKING</i> • 106
JEZUS ŻYŁ W INDIACH • 46	POLSKA MAFIA W INDIACH • 108
TYGODNIK „POLITYKA” • 49	ÓSMY KONTYNET: INDIE • 109
CHIŃCZYCY • 54	JAK CHŁOPCY Z PRL-U POPRAWIALI POLITYKĘ GOSPODARCZĄ INDIJ • 111
NIE POTRZEBUJEMY TWOICH PIENIĘDZY • 57	REWOLUCJA PRZEMYSŁOWA • 113
MOTYLE • 63	MIASTO I PSY • 115
GOŚCIE JESTEŚMY • 66	DINGO W INDIACH • 117
SPOTKANIE Z INNYM • 68	JAK KWIATEK METODĘ NA TRANZYT OPRACOWAŁ • 118
FRANCUZKA • 70	WŚCIEKLIZNA • 121
LICEUM • 74	NA CZYM CI INDUSI JADĄ • 122
SPRAWA HONORU • 75	DZIEŃ, W KTÓRYM PADŁA KALKUTA • 124
ŚWIĘTY TOMASZ • 76	DEKLARACJA WALUTOWA • 127
ODURZONY • 77	NAJWIĘKSZA AKCJA MARKETINGOWA W DZIEJACH ŚWIATA • 129
TO JEST NASZE ZDJĘCIE! SPADAJ! • 78	
ZACZNIJ OD PIĘCIU ZWROTÓW • 81	
BYĆ W KATMANDU... • 81	
INDUSOM I PSOM WSTĘP WZBRONIONY • 83	

- WIĘZIENIE W KATMANDU • 133
- SPRAWA DUCHA, A NIE
PRZYJEMNOŚCI • 136
- CELNIK MÓWI • 138
- ZAKOCHAŁ SIĘ I MAMY KŁOPOT • 139
- REDAKTOREK • 142
- AIRPORT • 144
- INDIE BEZ KOMPLEKSÓW • 146
- A GDYBY POLSKA MIAŁA
130 MILIONÓW MIESZKAŃCÓW? • 148
- NOCNY WYŚCIG PRZEMYTNIKÓW • 149
- POMOC AMBASADY • 153
- MA WYGLĄDAĆ JAK PIERŚ TEJ
KOBIECY • 157
- TERAZ MASZ WIĘCEJ WRAŻEŃ DO
OPOWIADANIA • 159
- GRA W DZIADA • 160
- PALANT TO PROFESJA, A NIE
WYZWISKO • 162
- TAK SOBIE MARZĘ • 164
- CAŁY CZAS NA HAJU • 165
- ZŁA KARMA WRÓCI • 170
- RELACJA AMERYKANINA • 171
- NA MŁODE WILKI OBLAWA • 174
- CZY MOGOŁOWIE TO
MONGOŁOWIE? • 177
- GANGSTERKA Z LONDYNU • 180
- PRZEPEŁNIONE WIĘZIENIA • 182
- WSTYD • 183
- TO NIE MIAŁO PRAWA SIĘ
WYDARZYĆ • 185
- WIELOKROTNY MORDERCA • 187
- PRZEMYTNIICY CZERWONEGO
DRZEWA SANDAŁOWEGO • 189
- MŁODY MILIONER • 191
- ŻARCIE • 193
- OBSRANI • 194
- PRZYNAJMNIEJ NIE MAM
WŚCIEKLIZNY • 196
- JA TU TYLKO NA CHWILĘ • 197
- MUST SEE • 199
- PIERWSZE SPIĘCIE • 201
- JEDNOOKI TOMEK • 202
- PRAWNIK • 206
- KĄŻDY Z NAS JEST BOGIEM • 209
- HINDUIZM JAKO OPEN SOURCE
SYSTEM • 213
- TAM JEST PIEKŁO • 214
- ZAPACH DZIEWCZYNY • 217
- DLACZEGO NIE OGRABILI
MAHARADŻÓW • 220
- SZTUKA ŻYCIA • 222
- WUJEK DOBRA RADA • 224
- JASKRAWOCZERWONA SZMINKA • 227
- HARACZ • 232
- OPLACALNOŚĆ TORBY • 235
- PIĘĆ, SIEDEM LAT, ŚREDNIO DWA
LATA • 237
- NIEZBĘDNIK PRZEWAŁACZA • 239
- KARTECZKI • 241
- JA NIE ZATRZYMAM SAMOLOTU? • 244
- SOFT POWER INDII • 246
- NASZE DZIEWCZYNY • 247
- ZŁOTE KARAWANY • 250
- PORT MORSKI W NEW DELHI • 251
- ZIEŁONE ZŁOTO • 253
- KOCIOŁ W VISHALU • 255
- TRZEBA CZEKAĆ • 259
- UCIECZKA Z WARANASI • 260
- ZŁOTE SPRZĄTACZKI • 265
- REWOLUCJA ENERGOOSZCZĘDNEJ
ŻARÓWKI • 267
- MILION DOLARÓW ZA ZDJĘCIE
Z PUSZKĄ HEINEKENA • 269

I NIEMIEC BYŁ NAM BRATEM • 273	WRACA CHŁOP PO ROBOCIE • 342
WOLNY TYBET, CZY POTRAFIĘ SOBIE TO WYBRAZIĆ? • 280	GDYBY NIE TEN SŁOŃ? • 343
WIELKA MIGRACJA • 282	MARZENIE • 348
INTERIOR • 284	DO INDII PRZEMYCANYCH JEST 700 KG ZŁOTA DZIENNIE • 350
KONSUL • 286	BOREK MAJSTERKOWICZ • 352
MAFIA IRAŃSKA • 290	GLÓD • 354
UWAŻAJ NA SWOJE MYŚLI • 292	URLÓP • 356
BEZ JAJ • 294	PRZYBYLI, ŻEBY ZARABIAĆ PIENIĄDZE • 359
ZAWODOWIEC • 296	PIEPRZYSZ, HAN SOŁO • 361
ŁAWECZKA • 298	DWIE AMEBY • 363
OJ TAM, Z BABĄ • 300	WHICH ONE? KTÓRY? • 365
MALEDIWY I ŻONA MINISTRA • 304	PRZYGODA W INTERNECIE • 367
NAJWIĘKSZE DRZEWO TEKOWE NA ŚWIECIE • 307	NAPRAWDĘ? • 370
ZŁOTY POCIĄG • 310	ZŁOTA RYBKĄ • 373
DZIEWICA • 312	JAK PSU BUDA • 376
CO NAS NIE ZABIJE, TO NAS WZMOCNI • 317	BETONOWE PALMY W NEW DELHI? • 377
KRÓL DRZEW INDYJSKICH • 319	CO JEST W ŻYCIU WAŻNE? • 379
ZŁOTA MYŚL TECHNICZNA • 321	OSTATNI SAMURAJ • 384
MIARA ZŁOTA • 323	WIELKI SHOPPING • 387
PARA MŁODYCH LUDZI POBITA PRZEZ TŁUM • 324	NOWE ZABAWKI • 389
SANATORIUM TO NASZE SŁOWO • 326	SHASHI THAROOR – IMPERIUM PO TANIOŚCI • 393
NURTUJE MNIE PYTANIE • 329	ANGLICY PRZYGOTOWALI NAM GRUNT • 395
KREDYT KUPIECKI • 330	GENIUS LOCI • 397
CZY MAJĄ SIĘ CZYM CHWALIĆ? • 332	WAŻNE DLA MŁODEGO MĘŻCZYZNY • 401
ROMAN OBACIUŁ • 335	POST SCRIPTUM • 405
JEDEN NA JEDNEGO • 339	
BAZAR ZŁODZIEI • 340	BIBLIOGRAFIA • 409

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Copyright © by Cezary Borowy

Projekt okładki
Anita Zajac / Twarda Oprawa

Redakcja
Kinga Rak i Małgorzata Olszewska / Twarda Oprawa

Korekta
Monika Turała

Skład
DAKA – Studio Graficzne, Dawid Kwoka

Zdjęcia na okładkach / Lady In Red
Zdjęcia w książce ze zbiorów własnych autora bądź przyjaciół
Zdjęcie przy nocce biograficznej Mikołaj Borowy

Drogi czytelniku, jeśli chcesz ocenić tę książkę,
zajrzyj na nasz fun page na FB pt. Byłem przemytnikiem w Indiach
bądź na portalu Lubimy Czytać.

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję

ISBN 978-83-9555-15-0-5

Wydawnictwo TBR
Ul. Kłodzka 32c
04-650 Warszawa

Printed in Poland

[Kup książkę](#)